

TVzVis Niezależna Telewizja Vis á Vis



fot. H. T. Kaiser, B. Kucharek, W. Morek

JEDYNA NIEZALEŻNA GAZETKA W KRAJU



numer 10 (168), Kraków, listopad 2022

fot. B. Kucharek



H. T. Kaiser - „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”

Andrzej Sikorowski

OKNO NA PLANTY (122)

Kicz

Lunaparki zapamiętane z dzieciństwa. Kulawa karuzela, strzelnica na której obdarzony celnym okiem wiatrówkowy snajper mógł wygrać sztuczny kwiatek, lub podobiznę gwiazdy ekranu, tandetne fanty na kwadratowych postumentach pozyskiwane, gdy wiklinowe kółko rzucone z pewnej odległości objęło swym obwodem wybrany gadżet, czołg pchany po szynach przez siłaczy uderzający na końcu swej drogi w metalową płytę i gong – powód do dumy z krzepy pchającego. To nie była intelektualna rozrywka, raczej plebejski margines, na który szanujący się obywatel spoglądał z pobłażliwym lub nawet pogardliwym uśmiechem. Ale taka tandeta sprzedawała się zawsze i towarzyszyła każdym czasem z obecnymi, komputerowymi włącznie. Bo tandeta nie wymaga konsumpcyjnego wysiłku, wchodzi łatwo i przyjemnie, zarówno gdy dotyczy jedzenia, muzyki czy stroju. W szatni reprezentacyjnej naszych piłkarzy po wygranym meczu ryczą discopolowe hity. Ostatnio usłyszałem nasze siatkarki śpiewające od ucha do ucha przebój Zenka Martyniuka. Od sportowców nie żądam cytowania pieśni Ewy Demarczyk, być może nawet te ostatnie gdzieś słyszeli, ale one wymagają skupienia, pewnego rodzaju koncentracji, by pojąć rymowaną treść, a „oczy zielone” nie. Kicz wygra zawody z każdą bardziej ambitną formą przekazu, bo jest łatwy. A my z natury rzeczy w większości wypadków na tę łatwiznę idziemy.



fot: B. Zimowski

PLANTY „PIWNICZAN”



fot: B. Zimowski



fot. B. Kucharek

Marek Michalak

Droga do raju cz. 53

Droga do raju przez... Puszczę Kampinoską

Pośród wielu przystanków na szlaku koncertowym JBBO, pojawiła się okazja zagrania głęboko w puszczy. Dotarliśmy na miejsce z pobliskiej Warszawy eskortowani jak VIP-y. Wysiedliśmy przed jeszcze nie wykończonym pałacem, ale już zadaszonym, z wiechą na szczycie. Wskazano nam miejsce w wielkim salonie bez okien, które miało posłużyć za scenę. Zaczynamy rozpakowywać tam nasze instrumenty. Wszystko już gotowe. No, prawie. Potrzebne chociaż jedno gniazdko z prądem. Brak. Podchodzę do właściciela i mówię, że potrzebujemy prąd. Alek na to: myślałem, że gracie jazz akustyczny. Owszem, ale nasz pianista nie widzi tu, w tym salonie fortepianu. Zażartowałem, że może gospodarza na razie nie stać na fortepian, na wszelki wypadek zabraliśmy z sobą pianino elektryczne, które trzeba gdzieś do prądu podłączyć. Zaśmiał się szczerze i poprosił menedżerkę, aby zorganizowała dla zespołu przedłużacz z prądem. Na 16-tą pełna gotowość. Już mamy zacząć grać, ale podchodzi menago i tłumaczy nam, że jeszcze dwóch ambasadorów nie dojechało. Że kiedy się pojawią, da nam znać, aby na czas ich powitania zatrzymać granie, a potem znowu pokaże, kiedy mamy kontynuować. Umówiłem się z kolegami, że bez względu na frazę zawieszamy granie nawet w połowie taktu, a potem na znak menago od tego momentu zagramy dalej. Nie muszę dodawać, że nie zaskarbiła sobie naszej sympatii, ale postaraliśmy się, żeby z naszej strony wszystko zadziało „na medal”. W czasie ceremonii poświęcenia wiechy dowiedzieliśmy się, że pałacowi nadano imię „Princessa”, na cześć ukochanej suczki gospodarza. Po występie Alek zaprosił nas do posmakowania rajszych delicji drażniących nie tylko nasze oczy. Tylko żal, że człowiek ma jeden żołądek w takiej sytuacji.

Gazetka Vis a Vis: Copyright reserved by Bogusław Kucharek.
Wszystkie materiały publikowane są za zgodą autorów



wstępniak: Andrzej Dyga
materiały: Bogusław Kucharek,
skład i współpraca: Bogdan Zimowski
korekta: Zbigniew Bajka
sekretarz redakcji: Magda Konopska

Kontakt: Półeczka Vis a Vis,
www.zvis.pl
zvisrynek@gmail.com



visaviskrakow



Zasłyszane lewym uchem, czyli kronika towarzyska:

*Wieści ze Zwisu i okolic zasłyszane przez
Nadredaktora B. K.*

Zbliża się zima. Ostatnie zVisowe ptaki odlatują do swych gniazd.
Kierunki odlotu Egipt, Skandynawia, Wyspy Brytyjskie.

Walka o miejsce przy pomniku Piotra nabiera rumieńców. Po zaangażowaniu w „konflikt” armii amerykańskiej do działań włącza się policja i prokuratura . Oby tylko nie włączono do boju krakowskiej specjalności – maczet!?

„Zmiana podwieczorkowa” wraca do starych przyzwyczajzeń i godzin „urzędowania”. Po dyskretnej obserwacji Redakcja zastanowi się nad przywróceniem dawnej nazwy. Póki co przejściowo chrzczę Was na „Zmianę wieczorną”.

Specjalne podziękowania obsłudze składa Nadredaktor za starania przy oznakowaniu serwowanego mu złocistego napoju.

Nadredaktor dziękuje darczyńcy panu F. za smakowite orzechy.

A tak przy okazji , nie ma ktoś zbędnego „Maybacha” lub tony węgla?

W związku ze zbliżającą się zimą radzimy bywalcom by zaopatrzyli się w ciepłą odzież , latarki i gotówkę (przewidywane są wyłączenia prądu).

Jeden ze znanych bywalców oświadczył, że się nigdy nie ożeni , bo to zobowiązuje do wykonywania z żoną „ tych śmiesznych ruchów”.

Wyjaśniła się sprawa nieobecności w naszym bistro kilku stałych bywalców. Podobno żony założyły im bransoletki z lokalizatorem GPS.

Wznowiono już ruch kolejowy na trasie Kraków Płaszów-Dworzec Główny. Przerwa spowodowana była meczem tenisowym na kortach „Olszy” między Tomaszem K. i Andrzejem S. Spadające piłki tenisowe zablokowały jeden z torów.

FUNDUSZ GAZETKOWY:WPLYWY:Romuald K.- 50, Va'V-175,Andrzej T.- 50, Karol B. - 100,Dariusz D.- 100,Kazimierz W.- 80,Elżbieta S.-50,M.J. P.- 50,Jerzy B.- 50,Jerzy F.- 50, p.F.- 50, p. Piotr- znaczki= 805
WYDATKI: 33, druk gazetki październikowej- 375 =408 , 805-408= +397



foto. B. Kucharek

Adam Kawa

Sonety wieków ciemnych

XXII

Wiatr strunę mrozu mroczną trącał w świerkach,
ciszy koronę niósł na rogach jeleń,
w szorstkiej szczecinie trzeszczał szronu szelest,
w zasp baranicy wełniła się rzeka.

W grudniu grudniejąc straszyla się strzecha
szopy poszytej w słomy chrzęst i szelest,
w zgrabiałych grabach bladła mitu zieleń,
kropla po kropli z sopli mit wyciekał.

Ogromniał księżyc od ciszy ogromnej,
gdy Antygona szła w kamień ciemnicy.
Mógł honor Burek z kamienia wyskomleć.

Kasandra trupy polskich powstań liczyć.
By dla honoru rozum był opoką,
z kamienia w kamień potoczy się potok.

XXIII

Nim trwoga z nocy wytupała taniec,
nim myśl obrosła w dźwięk i słowa ciało,
w jaskini człowiek ucłowieczał chaos
w mitu przesłanie.

Ciemność szeptała w trwodze - niech się stanie -
i epifanii jarzyło się światło
i wstępowały w niebo skały Patmos
i gnozy kamień.

O niebo ciemnych żywiołów bił lament,
czas w Czarnej Dziurze stał się prochu garstką
i w garstkę prochu zmieniało się światło,
w ciemność jak amen.
W ciemności mitu tkwi ironii owoc
i ciemność milczy. Daje mówić bogom.



fot. archiwum

Mieczysław Czuma

PIWNICA i JASZCZURY (2)

Dwa flagowe okręty na rozkołysanych falach pokoleniowych emocji żeglujące po dwóch przeciwnych stronach Rynku. Kabaret w pałacu Pod Baranami (pod numerem 27) i klub krakowskiego środowiska studenckiego Pod Jaszczurami (pod numerem 8). Przy wszystkich odmiennościach te dwie instytucje w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych tamtego czasu dopełniały się nawzajem. Piwnica to kabaretowy, i nie tylko kabaretowy fenomen czasów PRL-u. Pod Baranami powstawały instrukcje i pisano podręcznik o tym, jak dystansować się od wszystkiego na co nie ma wewnętrznego przyzwolenia. Na wdzięczną pamięć zasłużyły też Jaszczury. Szczerze zazdrozczę komuś, kto podejmie chwalebny i smakowity trud napisania historii tego miejsca.

Tu debiutowała pierwsza w Krakowie, a kto wie czy i nie w Polsce, szafa grająca. Zainstalował ją ojciec Andrzeja Dąbrowskiego, wiernego bywalca Jaszczurów, znanego muzyka, na co dzień koncertującego na pasażerskich transatlantykach. Mebel miał niebywałe wzięcie. Właściciel regularnie i z namaszczeniem opróżniał maszynę z brzęczącego bilonu. Aż do czasu, kiedy jeden ze studentów Akademii Medycznej, późniejszy wielce poważany profesor, zapragnął uraczyć słuchaczy długą serią ulubionych przebojów. I zapakował do urządzenia poskładany w kostkę 100-złotowy banknot. Szafa zaniemówiła, poszła do remontu i słuch o niej zaginął.

Ten dokumentator jaszczurowych wydarzeń zanim rozpisze się o tutejszych seminariach, balach, kabaretach, zespołach muzycznych, turniejach wierszy i piosenek - stanowczo pamiętać musi o czymś jeszcze. To miejsce mocno wpisane jest w historię Rosji, o czym warto i należy przypominać przy każdej okazji. W połączonych na tę okazję kamienicach pod numerami 7, 8, 9 w roku 1605 odbył się ślub Maryny Mniszchówny z carem Dymitrem Samozwańcem. Polka tylko przez dziewięć dni była carycą Rosji. Jej małżonka zamordowano, trupowi samozwańczego władcy zawiązano sznur na genitaliach i obnażone ciało ciągnięto po ulicach Moskwy. Zwłoki spalono potem na stosie, popiołami nabitą armatę, wśród głośniejszych wiwatów odpalono lonty, a lufę skierowano na zachód. Ale finałem wszystkiego było zwycięstwo hetmana Stefana Żółkiewskiego pod Kłuszynem (4 lipca 1610), które otwarło Polakom drogę do rosyjskiej stolicy. Biało-czerwone chorągwie załopotwały na Kremlu. I powiewały tam do 4 listopada 1612.

W Jaszczurach często opowiadało się o tym rozmaitym gościom. Nie bez zadzierania nosa, że to właśnie tu brały początek takie wydarzenia. A poza tym, jak się ma taką historię, z której wywodzą się aż takie europejskie epopeje, to trzeba umieć zachowywać fason i na co dzień. I pewnie dlatego w Jaszczurach portierami bywali hrabiowie: Dzieduszycki, Konopka, Potocki, Ronikier. A wśród barmanek najjaśniejszą królować miała Jasia

Jan Nowicki

Piotr Kuba Kubowicz (1955-2020)
Kiedy zobaczyłem Cię po raz pierwszy? Nie pamiętam. I czy rzeczywiście coś zobaczyłem pod tą Twoją gęstwą włosów bez początku i końca? Może tylko uśmiech, dym z „Carmenów”, które wtedy bez opamiętania spalałeś.

Piotr - serce. Kuba - miłość do ludzi. Artysta - Kubowicz. Dziś zasługuje na wyjątkowe wspomnienie, a tu nic nie przychodzi do głowy. Pustka. Tylko gdzieś tam rozrzucone po kątach anegdoty i głos pod sufit wysoki.

Czy będziemy o Tobie pamiętać? Ależ tak! Czy z wolna zaczniemy zapominać? To oczywiste. Tak jak o Piotrze Skrzyneckim, którego bez pamięci wszyscy kochaliśmy. Myśląc o tym, chciałoby się płakać. Ale czy wypada, kiedy właśnie dożyliśmy czasu, gdy cały świat we łzach? Postawmy na ciszę. Ona krzyczy najbardziej.

Czekaj tam na nas. Od dziś będę wypatrywał tylko Twojego cienia na murze Kabaretu Piwnicy Pod Baranami.



fot. B. Kucharek



fot. B. Kucharek

Cmentarzysko filozofów (epitafia)

Zebrał Piotr Bartuła

Leszek Kołakowski: Myślałem, że śmierć jest błaznem. Dalibóg to kapłan.

David Hume: Pewnego ranka słońce dla mnie nie wzeszło. Nie jest powiedziane, że to się przytrafi każdemu.

John S. Mill: Nieistnienie jest przyjemnością wyższego rzędu. Wiem to z doświadczenia.

Michel de Montaigne: Tu leży obrońca frywolnego członka. Kto się nauczył umierać, odczył się mu służyć.

Epikur: Odkąd przebywam w ukryciu, brak mi tylko przyjaciół. Kwiaty wachane od spodu Ogrodu uśmierzają jednak wszelkie cierpienia.

William Ockham: Brzytwa po mnie przyszła. Nie należy ufać ogólnej nazwie „życie”.

Roman Ingarden: Wreszcie jestem człowiekiem nieodpowiedzialnym. Odpoczywam od ciągłości w czasie.

Martin Heidegger: Od dziecka byłem skierowany ku własnej śmierci. Kierunek okazał się właściwy.

Niccolo di Bernardo dei Machiavelli: Stawiam przed Księciem lustro mojego nagrobka. Lew nie odstraszy wilka śmierci, lis nie oszuka choroby.

Fryderyk Nietzsche: Trenowałem wolę mocy aż do utraty tchu. A świat nadal się kręci.

Blaise Pascal: Jeżeli chcecie wierzyć, że nadal żyję, nic na tym nie straciecie. Możecie się zakładać.

Adam Smith: Nie od przychylności grabarza natura oczekuje swojego obiadu, lecz od popytu i podaży firmy Karawan.

George Berkeley: Kiedyś postrzegali mnie ludzie, więc chwilami istniałem. Teraz Bóg widzi tylko moje zwłoki.

Heraklit z Efezu: Nie można wejść dwa razy do tego samego grobu. Wyjść nie można ani raz.

Tomasz Hobbes: Walkę o władzę kończy dopiero śmierć (ale nie w Polsce). Martwa natura jest znacznie lepsza od stanu natury.

Platon: Znikaj cieniu, bo tu leży moja Idealna Osoba. Zostawiłem w spadku wszystkie przypisy do samego siebie.

Diogenes z Synopy: Przechodniu, nie zasłaniaj mi słońca. I księżycu też.

Arystoteles: Człowiek z natury jest stworzony do bycia na cmentarzu. Chyba że był bestią lub bogiem.

Witold Gombrowicz: Wczoraj nic, dzisiaj nic, jutro nic. Reszta po staremu.

Simon Weil: W dniu mojej śmierci nawet Bóg popadł w mistycyzm. I siedem osób na pogrzebie bez księdza.

Jean-Jacques Rousseau: Zerwał mi się film umowy społecznej. Dobrze to już było.

Paradowska, późniejsza dziennikarska gwiazda, czołowa komentatorka liderującej długo na rynku „Polityki”.

Jako redaktor „Przekroju” rozmawiałem kiedyś z wicemerem Moskwy w jego biurze. Dostojnik rozłożył przed sobą wielką kronikę stolicy i perorował: Maskwa eto gorod gieroj. Nikto jej nie dobył. Napoleon chatieł i nie wziął, Gitler chatieł i tożo nie wziął. W tym miejscu przypominałem sobie o niegdysiejszym ślubie w Jaszczurach, przesunąłem księgę w swoją stronę i otwarłem na latach 1610 - 1612. A wtedy wicemer: A da, da. Wasi byli, wasi byli...

Galeria Vis á Vis:

Jacek Maiński

„LAS” CZTERY PORY ROKU W BESKIDZIE SADECKIM
Mam przyjemność powitać dzisiaj Państwa na przeglądzie moich prac fotograficznych powstałych podczas moich wędrówek myśliwskich po Beskidzie Sąddeckim.

Zdjęcia zostały wykonane w latach 1998 - 2007
na Małej i Dużej Roztoce Ryterskiej, w Kosarzyskach, na Wierchomli,
Żyчанowie oraz w Rytrze.

Odstawiałem wtedy strzelbę, brałem aparaty i towarzyszyłem braci myśliwskiej w polowaniach robiąc zdjęcia.

Mam nadzieję, że wystawione tutaj prace przypadną Państwu do gustu i zmotywują do odwiedzenia w przyszłości tych stron.



Jerzy Antkowiak

STARE MODY ZAWSZE M O D N E !!!

Ten tytuł towarzyszył pokazowi w DOMU KULTURY i DZIEDZICTWA W PRUSZKOWIE w MARCU 2022.

Był na ostatniej stronie broszurki o modzie, okazał się on zwiastunem moich modowych namiętności, a mianowicie NIEUSTAJĄCEGO GRZEBANIA W STARYCH MODACH. Wielokrotnie a tym pisałem, opowiadałem, a ponieważ będę robił w PODKOWIE LEŚNEJ, w CENTRUM KULTURY czyli U LILPOPA -

MODOWE IMPRESJE SENTYMENTALNE, to tam jest to miejsce. Będzie to coś jak by SZKATUŁKA Z PRECJOZAMI - trochę MODY, SZKICÓW, MALARSTWA, BIŻUTERII, atmosfery filmu POŻEGNANIA, podkowieńskiego jak nie innego. A tymczasem walczę, ale na wesoło z innymi żywiołami - oto mój październikowy tekst sprzed lat a jakże filuternym tytule: KOMPUTEREM W DYLIŻANS CZYLI Z PAMIĘTNIAKA DYLETANTA z wściekle młodzieżowego, też październikowego K MAG'u. WESOŁEJ LEKTURY życzy piszący to co powyżej i poniżej również. Kłaniam się moim czytelnikom! JERZY ANTKOWIAK

Legenda polskiej mody i Mody Polskiej, w której pracował od początku lat 60., najpierw jako szeregowy projektant, później, aż do likwidacji instytucji w 1998 roku, jako dyrektor artystyczny. Lew salonowy. Living legend of Polish fashion and Moda Polska in which he worked from the beginning of 60's. First as one of the designers, later till 1998 as an art director. Komputery, komputery! Komputery jak komputery, ale te maniery! Nic w życiu nie było mi tak obce jak komputer. Otoczony jestem tym paskudztwem jak pajęczyną. Córka - komputer, syn - komputer, synowa - komputer, ex-synowe - komputery i nie tytko. Wnuczki, jak leci - komputery, internety, blogi, czaty, mejle, myszki klikające, gotowce czekające na niedouków szkolnych, a przecież nie wymieniałem wszystkich zalet tego monstrum. Wiem tylko jedno i to w temacie komputer wiem na pewno - rozum może spać spokojnie. Nie jestem natural Jerzy Antkowiak - projektant mody, publicysta Foto - Narodowe Archiwum Cyfrowe nie takim tępym zakapiorem negującym wszystko na zasadzie „nie, bo nie” i żyję na tyle długo, że przed komputerem doświadczałem pożytków nowoczesności wszelkiej maści, jak zaczynałem chodzić do szkoły, miałem obsadkę, stalówkę, kałamarz, atrament i kajet, jeśli młody czytelnik nie wie (a zapewne nie wie), co to wszystko znaczy, niech zapyta kogoś wiekowego. No dobrze - używam komputera, rozmawiając z wnuczką, która mieszka w Holandii. Coś się trzęsie, coś mruga, najpierw głos, potem obraz lub odwrotnie.

To prawda, widzę moją wnusie, ba, widzę nawet prawnusie, głowa wyżej, głowa niżej, mikrofon w lewo, ja w prawo, też mnie nie widzą. Strużka zimnego potu cichutko spływa po plecach, czuję się jak po jakichś manewrach z peryskopem, jak Chaplin w fabryce, gdzie nie nadążał z obcęgami za uciekającymi śrubami. Jestem wyczerpany, idę do domu (komputer u syna) pisać list. No właśnie, kto teraz jeszcze pisze listy, jak to kiedyś bywało? Pisanie sprzyja myśleniu. komputer zaś myśli za piszącego, ale jeśli ktoś kocha komputery i ma naprawdę pożytki z tego mało urodziwego instrumentu, bo szpetne to jest nieludzko, to chyle czoła i mówię moje dyletanckie: CHAPEAU BAS!

Byłem kiedyś w Paryżu i nie przy okazji haute couture czy targów prêt-à-porter, jak miałem



foto. B. Kucharek

Odeszli w tym roku:

Adam Konopka



Stanisław Tabisz



Teofil Lisiecki



Jerzy Trela



Krzysztof Szafranec



Wojciech Rościszewski



Ladislav Volko

Liścik z Bratysławy nr: 94



fot: N. Pazdej

Gdziekolwiek jestem w świecie w tymże czasie, jesień mi się zawsze kojarzy z krakowskimi Plantami i wspaniałą muzyką Fryderyka Chopina. W czasach socjalizmu jeździliśmy za kulturą i sztuką do Polski. A ponieważ Kraków był najbliższą częścią do klubów studenckich na jazz i poodychać wolnością, do teatrów na Swinarskiego na przykład, na Wajdę, do Nowej Huty na Szajnę... na Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych. Czytano dużo dzieł polskich autorów, niektórzy czytali w oryginale, inni we wspaniałych tłumaczeniach na słowacki lub na czeski naszych tłumaczy w obu częściach naszej Republiki. Mój przyjaciel, Ivan Marton, muzykolog z wykształcenia i z zamiłowania, jeździł co roku jeszcze jako student i później, jako długoletni kierownik muzyczny Filharmonii Słowackiej, na Warszawską Jesień. Nauczył się polskiego i początkiem jego nauki były chyba kursy językowe w Polskim Ośrodku Kultury i Informacji w Bratysławie. Do tej pory jest polonofilem. Przed paru dniami zakończyło się nasze muzyczne święto – 57 rocznik Bratysławskich Muzycznych Uroczystości. Wspaniały program, publiczność dopisała i pocieszające jest, że na koncerty przychodzi dużo młodych. Niestety tym razem nie było polskiego uczestnictwa. Objawieniem i nie tylko dla mnie było wystąpienie Państwowej Filharmonii z Koszyc, którą prowadził morawski dyrygent Robert Jindra. W programie wszystko jak powinno być: słowacki kompozytor Eugen Suchoň ze swoją Symfonią Rusticana i czeski Jozef Suk z Bajką i pomiędzy nimi Jean Sibelius: Koncert na skrzypce i orkiestrę d mol, op.47 w wykonaniu genialnego armeńskiego artysty Sergeja Chaczatriana (1985). Przeczytałem, że w roku 2000 otrzymał w Helsinkach pierwszą nagrodę na Międzynarodowym Konkursie J. Sibelia jako najmłodszy laureat w historii tej nagrody. Naprawdę wspaniały koncert dzisiaj już znanego w świecie artysty. A zatem jesień, jak zawsze, pełna koncertów różnorodnej muzyki, wystaw, festiwali teatralnych, filmowych i literackich. Wspaniała prywatna Galeria Nedbalka w centrum starego miasta, zwana też Słowacki Guggenheim, bowiem na pięciu okružnych piętrach prezentują się prace słowackich artystów 19-tego i 20-tego wieku, w tych dniach święciła dziesięciolecie. W tym czasie zrealizowano 50 wystaw. Galerię odwiedziło 128 tys. osób, wydano 34 wspaniałych publikacji, masę wykładów, akcji różnego rodzaju. Na wystawie stałej można znaleźć prace takich autorów jak Ladislav Mednyánszky, Dominik Skutecký, Martin, Benka, Rudolf Krivoš, Endre Nemes, Rudolf Fila, Viera Žilinčanová, Michal Jakabčič, Jozef Jankovič. Udało się również pozyskać większe kolekcje dzieł Kolomana Sokola (który żył w USA) i Ľudovíta Fulla oraz rzadkie dzieła z lat 60. autorstwa Miloša Urbáska i Alexa Mlynárčika a także kolekcję obrazów z posiadłości Milana Paštėki. Trzeba odwiedzić.

w zwyczaju, ale na rozmowach w sprawie otwarcia domu mody Pierre Balmain w Warszawie w miejscu salonu Mody Polskiej vis-à-vis kina Atlantic na Chmielnej w Warszawie. Menedżer Balmaina nie mógł pojąć, czemu ja się wzbraniam przed przyjęciem darowanej mi komórki, która przecież ułatwi nam kontakty. Spodobała mu się jednak postawa komórkowego outsidera, postanowił zaprosić mnie w pewne tajemnicze miejsce. Ma to być niespodzianka. Jadę pod wskazany adres - jest fajno, oczom nie wierzę, ale ten adres to jest... cerkiew. Pan od Balmaina nie pokazuje mi krawatów, pasków, koszul, garniturów i męskich peniuarów, którymi chciałby w Warszawie ozdobić grzbiety bogatych Polaków. Pan śpiewa pięknym basem na chórze w cerkwi i to go bardziej kręci niż luksusy jego domu mody. Jemu się podoba moje wariactwo antykomórkowe, mnie - jego szaleństwo cerkiewne. Łądujemy w Chez Petrouchka, gdzie w towarzystwie „musique russes” i obfitości „la vodka” ustalamy, że najrozsądniej będzie, jak Balmain otworzy swój przybytek w... Ałma-Acie. Mój komputerowy dyletantyzm kazał mi zajrzeć do „Słownika wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych”. Zanim tam zajrzałem, chciałem napisać, że każde zmaganie z komputerem (zmuszony byłem kiedyś pisać pod bystrym okiem pewnej namolnej kobitki jakieś wytyczne mody) kończyło się zimnymi potami i stanem omdlewającym, tak jak w czasie studiów w studium wojskowym, które my, plastycy, odbębnialiśmy razem z muzykami w Wyższej Szkole Muzycznej we Wrocławiu na Krzykach. Nienawidziliśmy tego woja z całego serca (nie wiem, czy już o tym nie pisałem), a zwłaszcza zajęć na poligonie pod tytułem „sześć dział sprzężonych z przelicznikiem”. Miałem jakieś dziwne przeczucie, że zagłębienie do słownika Kopalińskiego w poszukiwaniu hasła „komputer” nie skończy się dobrze i wywoła demony przeszłości. I oczywiście, nie mogło nie wywołać, bo już nie tylko to wojo sprzed ponad pół wieku prześladowa moją wyobraźnię, ale okazało się, że teraz prześladowa pod rękę z komputerem. Otóż pisze Kopaliński: „KOPUT dawn. stan liczebny (zwł. wojska); poczet, liczba, spis, rejestr, głównie siły wojsk regularnych.



Uczestniczki Rajdu Pań na starcie przed pałacem Brühla, 1936 rok. Zdjęcie z 1934 roku. Foto - Narodowe Archiwum Cyfrowe

KOMPUTOWYCH, stałych, utrzymywanych przez skarb Rzeczypospolitej (XVII XVIII w.). KOMPUTER elektroniczna maszyna cyfrowa (ang. computer) kalkulator, komputer; wojsk, przelicznik (od compute - obliczać) i późn. łac. computus rachunek od computa re - liczyć. Zob. kom-putare. zob. amputacja, por. countdown (dys) konto; kontuar”. UFF!!! Kończąc, proszę Najwyższą Naczelną Redakcję o temat łaskawszy dla pióra dyletanta komputerowego. Może coś o zmierzchu bogów, może usta mileczą – dusza śpiewa, może wspomnienia niebieskiego mundurka. Jeśli jednak Wysoka Redakcja będzie nieczuła, uzna, że marudzę i zada mi temat na przykład taki: „Czy grożą nam atomowe jądra?”, przysięgam, że się podształcę w tym temacie, odrobię lekcje, na tyle, na ile to potrafię, ale uprzedzam, że mogą z tego wyjść „Kosmiczne jaja”.



fot: B. Zimowski

Andrzej Matusiak MÓJ DAWNY KRAKÓW MIASTO, LUDZIE, WYDARZENIA na starej pocztówce i fotografii oraz wspomnieniach” (III)

Katedra Wawelska cz. 9

Po śmierci króla Jana I Olbrachta w czerwcu 1501 roku, **królem Polski** wybrano jego młodszego brata **Aleksandra Jagiellończyka (1461-1506)**, od roku 1492 **wielkiego księcia Litwy**. Aby zostać władcą Polski, Aleksander musiał się zobowiązać do rezygnacji z dziedziczenia Litwy, przywrócenia unii personalnej między Polską –

Koroną a Litwą, przyznania części władzy i przywilejów Senatowi czyli możnowładcom. Unię i przywileje zatwierdzono w październiku 1501 roku w Mielniku. Po tych aktach **Aleksander Jagiellończyk** został koronowany na **króla Polski, 12 grudnia 1501 roku** w katedrze wawelskiej przez jego najmłodszego brata **kardynała Fryderyka Jagiellończyka (1468-1503) Prymasa Polski**. Natomiast nie koronowano **Heleny** żony Aleksandra, córki wielkiego księcia moskiewskiego Iwana III Srogiego, gdyż nie przeszła z prawosławia na katolicyzm, czego zabronił jej ojciec, ale oficjalnie nosiła tytuł królowej Polski. Mimo krótkiego 5.letniego okresu panowania, Aleksander poprawił stan państwa i jego gospodarki, zwłaszcza Litwy i Wilna, uporządkował prawo i gospodarkę. W 1503 r. zakończył 6.letnim rozejmem, trwającą wojnę litewsko – moskiewską w wyniku której Litwa straciła około 1/3 swoich ziem. W 1504 roku na **sejmie w Piotrkowie** unormowano organizację i kompetencję urzędów oraz zakazano łączenia ważnych urzędów przez jedną osobę. Natomiast w maju 1505 roku, **sejm w Radomiu** uchwalił konstytucję „**Nihil novi**” czyli „*nic nowego o nas bez nas*” zakazującą królowi wydawania prawa i nakładania podatków bez zgody szlachty. Anulowano też przywileje magnackie z Mielnika (1501), szkodliwe dla kraju. Na tym sejmie Aleksander zatwierdził zbiór obowiązujących praw i przywilejów szlacheckich, kościelnych i miast królewskich, zwanych „**Statutem Łaskiego**”, który stanowił źródło prawa aż do rozbiorów Polski. W 1504 roku król podjął **przebudowę Wawelu** już w stylu renesansowym, która rozpoczęła się od zniszczonej pożarem zamku w 1499 r. jego zachodnio-północnej strony. Pracami kierował Eberhard Rossenberger. Na początku wybudowano budynek bramny i zachodnie skrzydło zamku (na zdjęciu), a ten etap budowy kontynuowano do 1508 roku. W wyniku długotrwałej choroby król **Aleksander Jagiellończyk** zmarł **19 sierpnia 1506 roku w Wilnie** nie pozostawiając



Król Aleksander Jagiellończyk mal. J.Matejko

Obywatelu Syzyfie, dowódca brygady antyterrorystycznej melduje o objęciu was ochroną. Proszę tu podpisać. - A co to jest? Syzyf pierwszy raz widział szybkę, po której można skrobać, jak po glinianej tabliczce. Komandos wsunął w palce herosa rysik i pokazał, co zrobić. W kilka minut brygada antyterrorystów otoczyła cały teren kolczastymi zasiekami. - Co mam teraz począć ze sobą? Zmartwił się heros. Nic, my się wszystkim zajmujemy. Usłyszał w środku świadomości.- Kto to mówi? Do kogo? Twój algorytm...

Syzyf rozglądnął się wokoło. Był sam. Zapadła noc. Chwilę stał w zamyśleniu, po czym podszedł do głazu, naprężył mięśnie i pchnął go na kolczaste bariery. Kamień zmiażdżył płot i potoczył się w dół zbocza. Heros ruszył jego śladem. Świtem stanął u podnóża góry. Głaz tkwił na zwykłym miejscu. Pogłaskał go, przytulił policzek do chropawej skały, jakby czegoś nasłuchiwał, po czym zaparł stopy w kamienistym gruncie, pchnął głaz przed siebie i krok za krokiem ruszył pod górę. Bogowie wytrzeźwieli.

Roman Wysogład

Bogusiowi Kucharkowi

tańce w „Klubie pod Jaszczurami”
kończyły się o godzinie dziesiątej czterdzieści pięć
aby młodzież zdążyła do domu
ponieważ bramy kamienic
stróże rygorystycznie zamykali o godzinie
dwudziestej trzeciej

dziewczyny

- przy dźwiękach z zespołu z nieodżałowanym Jankiem Kudykiem
który na pożegnanie grał sławny utwór zatytułowany „Szmalce”
podlewaliśmy winem o smaku octu
a następnie wychodziliśmy na Rynek
w nieprzeniknioną ciemność

dziewczyny z tamtych lat już nie ma

zamieniły się w stare kobiety które na słowa: „dzień dobry”
reagują alergicznie

na szczęście my pozostaliśmy tacy jak wtedy

z małymi wyjątkami



fot. B. Kucharek

Andrzej Pacuła

Kłęska Syzyfa

Tuż przed północą Syzyf wyciągnął wreszcie swój kamień na szczyt przeklętej góry. Tej nocy cały Olimp biesiadował w jaskini Afrodyty - od wina, cypryjskiej wieprzowiny i zmagających miłosnych boskie moce osłabły. Osłabły też klątwy rzucone na krnąbrnych herosów. Prometeusz urwał się z łańcuchów i na placu Pigalle handluje wypchanymi sępami, Herkules nie czyści już stajni Augiasza, lecz został jego kochankiem, a Syzyf...



fot. B. Kucharek

Zmęczony, osunął się na ziemię i zasnął u podnóża głazu. Obudziła go wrzawa - tłum wiwatował na jego cześć. Ale pierwsi zjawili się kapłani.

Umiłowany Syzyfie, dokonałeś cudu i nie może on pójść w zapomnienie. Musimy go ogłosić *urbi et orbi* (skąd kapłan Dionizosa zna łańcę, zdziwił się heros?), musimy dać ludziom wzór mocy, która cię przenika. Dlatego potniemy kamień na relikwie i roześlemy do naszych świątyń w świecie.

Potniecie? Mój kamień... Syzyf zerwał się na równe nogi, rozkrzyżował ramiona i zasłonił głaz.

Mój kamień nie jest na sprzedaż i nikt go nie potnie!

Dużo tracisz, synu - mruknął kapłan i wezwał lud do modlitw o nawrócenie zbłąkanego. Syzyf uspokoił się. Usiadł na skrzyżowanych nogach i zaczął się posilać. Wtem, jakiś cień przeciął słoneczne światło ogrzewające jego twarz. Podniósł w górę piwne oczy. Nie widział dotąd tak pięknej kobiety.

Pokłon ci boski Syzyfie, zdrowa żywność, którą (heros ugryzł wielki kęs salami) nasza firma produkuje, ze starannie wyselekcjonowanych komponentów, uprawianych...
- O czym prawisz, piękna? - burknął heros. - Chcemy żebyś wystąpił w naszej reklamie.
- W czym? - Nie musisz nic mówić. Będziesz, jak teraz siedział na tle tego kamyka i jadł naszą super zdrową kanapkę. Nie musisz...

Jeżeli nie muszę, to nie chcę. Wybacz piękna. I nie zwracając uwagi na uwodzicielski uśmiech, zostawił damę (codedress, szminkowany stres, orgazm wieloczynnościowy) i odszedł w ustronne miejsce. Kucnął. I pac, w głowę coś go uderzyło. Przed nim rozwinęła się rolka papieru toaletowego, który przemówił ciepłym barytonem: *Mamy w ofercie papier toaletowy w tysiącu zapachów i kolorów. Aksamit naszego papieru, zadowolili...* Urwał z rolki kawałek i głos zamilkł. Z ulgą powrócił na swoje miejsce, przy kamieniu. Drzemał, gdy usłyszał jęki i zawodzenia. Przed nim stał tłum starych kobiet w beżowych beretach, a nad nimi zwiślał transparent: *Strefa wolna od LGTB*. Najwyższa i najtęższa z nich, zaczęła zbliżać się do herosa, kręcąc różańcem, niczym pętlą lassa. Syzyf zasłonił oczy przed spodziewanym ciosem. Ale zamiast ciosu, zapadła cisza. Powoli odsłonił oczy i ujrzał płonący stos beretów, poszarpany transparent i kobiety pakowane do plecaków antyterrorystów. Ich dowódca wyprężył się przed herosem:

żadnego potomka, co by potwierdzało informacje o jego impotencji. Mimo iż jego testamentową wolą było pochowanie go na Wawelu, został pogrzebany w **wileńskiej katedrze**. Można przypuszczać, że stała za tym jego żona Królowa Helena i sami Litwini ceniący go za rozwój Litwy i Wilna. Tym samym jest to „...jedyny król Polski, który spoczywa w ziemi litewskiej” i jedyny król Polski z Jagiellonów, który nie ma swojego nagrobka w katedrze wawelskiej.



Wawel - zach. skrzydło z bramą na dziedziniec, fot. A.Matusiak

Henryk Cebula - grafiki:





fot. archiwum

Stefan Szlachtycz

18 stycznia: wyzwolenie ulicy Skawińskiej Bocznej.

W styczniu front stał się już słyszalny, kanonada robiła wrażenie odległego pojękiwania, w nocy niebo rozbłyskiwało czerwonym światłem. Na jezdni mostu pojawiła się tajemnicza budowla, jakby na środkowej jednej trzeciej wzniesiono wzdłuż żółty mur. Ktoś fachowo wyjaśnił, że to jest ściana z trotylu w kostkach. Mama uznała, że nadszedł już czas i przenieśliśmy się do piwnicy. Podpiwniczenie domu było podzielone drewnianymi ściankami na niewielkie (2.5 x 4 m) komórki, leżał w nich węgiel opałowy, reszta była składzikiem - rupieciarnią. Nasza komórka przytykała do muru z przewodami kominowymi, to było nasze i szczęście i jego brak. Pionowe kanały dymowe miały tu dolne zakończenie nazywane wyciorami, zamknięte żeliwnymi drzwiczkami, kominiarze wybierali stąd opadłą z kominów sadzę. Dzięki tym otworom można było zainstalować tzw. kozę, żelazny piecyk z rurą, zrobiło się ciepło, można było gotować. Zostały rozłożone materace, pościel i zaczęło podziemne życie przy lampach naftowych, dla nas dzieci szalenie atrakcyjne. Inni poszli w nasze ślady, piwnica zaludniła się. Ktoś wpadł na pomysł przebicia ścian między budynkami i połączyliśmy się z sąsiadami. Można było przejść pod ziemią aż do narożnej dwójki. Brak szczęścia ujawnił się przy wysadzeniu już pierwszego mostu, a było ich cztery. Potężny podmuch z naziennej eksplozji na górze wybił szyby, rozwarł wszystkie okna i bramy, na dole zabawił się w super-kominiarza. Całą sadzę z przewodów dymowych wydmuchał z impetem do piwnic i pokrył szczelnie wszystko, warstwą najczarniejszą z czarnych. Nas też. W jednej chwili staliśmy się w ciemności niewidzialni i nierozpoznawalni. Tych chwil było cztery, najgorsza ostatnia, czyli most Dębnicki; wprawdzie najdalszy, ale na niego Niemcy użyli największą ilość materiału detonacyjnego. Sadza ma charakterystyczny zapach i smak, jest tłusta – zimną wodą nie daje się zmyć. Do dziś czuję ją w ustach... Przy spotkaniu z drugim zasadzonym, trzeba było mówić nazwisko.

A wojna toczyła się już nad nami. Nie mogłem sobie darować, że tego nie widzę. Razu pewnego udało mi się zmylić rodziców, wymknąłem się na klatkę schodową i pognąłem do naszego mieszkania. To było koło południa, był mroźny ale słoneczny dzień, właśnie 18-go stycznia. Wszystkie otwory domu były szeroko rozwarłe, stanąłem na środku pokoju - żeby nie za blisko okna - przed sobą miałem teatr najprawdziwszej wojny. Mam go w oczach do dziś: Niemcy byli na drugim, podgórskim brzegu, stały tam dwa Tygrysy i biegali nerwowo, skuleni żołnierze w białych mundurach i takich hełmach, pruli gęsto z automatów w kierunku naszego brzegu. Tygrysy strzelały z dział pociskami rozpryskowymi, które ze słabym hukiem rozrywały się żółto w kłębkach dymu nad naszą łąką. Na bulwarze byli Sowietci – cel ostrzału. Kiedy później oglądałem obrazki Bruegla przedstawiające zimowe scenki rodzajowe, miałem poczucie de'ja vu - już to widziałem. Właśnie wtedy. Było ich dużo, Ruskich, a ich zachowanie najbardziej zwracało uwagę. Wolnym, promenadowym krokiem przechadzali się, wyprostowani, solo lub grupkami, palili papierosy, rozmawiali, słysząc było ich śmiechy.

c. d. n.

w Krakowie, w którym nigdy za życia nie był, i czy jego marzeniem było aby jego szczątki spoczęły obok Słowackiego za którym nie przepadał. Na pewno mój przyjaciel, będący całe życie wojującym ateistą, nie byłby zachwycony gdyby wiedział, że wbrew jego woli rodzina urządzi mu katolicki pogrzeb z tego powodu, że „Cioci byłoby przykro”. Lub inny znajomy, który życzył sobie spocząć obok rodzicielki na łódzkim kirkucie, został pochowany w uroczystym obrzędzie katolickim w Krakowie. Przykładów nieposzanowania woli zmarłych mógłbym mnożyć. A od tego należałoby zacząć pielęgnowanie pamięci o zmarłych. Od poszanowania ich woli wyrażonej za życia i skrupulatnego jej wykonania. Annały sądowe pełne są dokumentacji dot. gorszących sporów spadkowych. Nieboszczyk zostawia wyraźną dyspozycję, ale żywi wiedzą lepiej. Swój testament zakończyłem groźbą, że będę straszył nieposłusznych spadkobierców. Ale cóż, są to ludzie dzielni i duchów się nie boją. Dla rozweselenia zakończę anegdotką z tego obszaru.

„Do rejenta zgłasza się klient i prosi o sprawdzenie sporządzonego przez siebie testamentu. Bo wie Pan - ja to tak krótko ująłem żeby było zrozumiałe - mówi. Rejent przeczytawszy zwraca dokument ze słowami – Wszystko w porządku, krótko jasno i zrozumiałe. Sugerowałbym tylko poprawienie dwóch błędów ortograficznych, które nie stanowią o ważności dokumentu, ale tak będzie bardziej elegancko. Otóż „nikomu” pisze się razem, natomiast „ni chuja” osobno”.

Przypuszczam, że ustawowi spadkobiercy nie byli zachwyceni takim zapisem, pomimo jego formalnej prawidłowości.

Tu ma swój kąt, Iwona Siwek-Front



Lesław Pizło

De mortuis aut bene aut nihil



foto: B. Kańska - Bielak

Nie wiadomo kto ukuł powyższe powiedzonko, ale ma się ono dobrze od starożytności. Jest powtarzane i stosowane w praktyce dosyć bezrefleksyjnie przez kolejne pokolenia żyjących. A ja się pytam, nie pierwszy zresztą, czemu o zmarłym łajdaku mam mówić z nabożnym szacunkiem, lub pomijać różne jego niegodziwości milczeniem. Dosyć długo już chodzę po tym świecie i gdybym miał stworzyć sobie obraz społeczności w której żyję, na podstawie nekrologów i tym podobnych publikacji, to okazało by się, że nie stapałem po ziemskim padole, tylko byłem w niebie. Otoczony przez same anioły, natchnione duchem świętym, niosące mi pomoc, otaczające mnie opieką i szacunkiem. Budujące przyszłość narodu i stanowiące wzór dla przyszłych pokoleń. Ci co odeszli z tego świata to wyłącznie osoby „najukochańsze”, „najdroższe”, „szlachetnego serca”, „wybitne”, „oddane bez reszty czemuś tam” i „tworzące pustkę nie do wypełnienia”.

Sentencja przytoczona w tytule ma uzasadnienie w tym, że nieboszczyk nie może się bronić, zatem niegodziwe jest jego atakowanie. Dobrze. Ale zwracam uwagę, że pamięć o zmarłym należy do dóbr osobistych chronionych prawem i może ich dochodzić praktycznie każdy z którym nieboszczyk wypił jedno piwo, nie mówiąc o rodzinie. Zostawmy to na boku, albo do dyspozycji piniaczy i trzeciorzędnych historyków.

Głównie chodzi mi o to, że w panegirycznych wspomnieniach, odzieramy człowieka z jego, bądźmy sprawiedliwi, człowieczeństwa. Z jego cech ludzkich. Człowiek nie składa się z samych rzeczy złych, czy dobrych. Bóg stworzył – diabeł namącił.

W szkole próbowano przybliżyć mi człowieka i jego dzieło; mianowicie niejakiego Mickiewicza Adama. W mojej dziecięcej, a później młodzieńczej świadomości to była spiżowa figura, obsrana przez gołębie, stojąca na Rynku. Pisał skomplikowanym dla mnie językiem o rzeczach zupełnie mi obcych i słabo zrozumiałych. W żaden sposób nie mogłem pojąć dlaczego ON KOCHAŁ NARÓD, i tam dalej w tym stylu. Dopiero przyszedłszy do lat dojrzałych, kiedy wyzwoliłem się z okowów szkolnej indoktrynacji, kiedy poznałem dużą część historii jego życia, stał mi się osobą bliską, zrozumiałą i po prostu polubiłem faceta. Gdy zamiast jałowych, aczkolwiek pisanych mową wiążaną, westchnień do Maryli W. przeczytałem sobie krwiste opisy konkurów o wdzięki p. Karoliny Kowalskiej. O tym jak to wieszcz gromił szambelana Nartowskiego świecznikiem i gdyby nie sąd honorowy to pewnie by się strzelali. Krótko mówiąc zszedł z cokołu na ziemię.

Opisy wspaniałej kawy „strojnej w biały kożuszek” ze świeżej śmietanki, litewskiego bigosu, czy ucztę na zamku Horeszków, czyta się zupełnie inaczej znając realia paryskiego życia Wieszcza, gdzie tworzył arcydzieło. Tamte były bliższe cienkiej zupki z Balzakovskiego pensjonatu mamy Vauquer niż opisom z „Pana Tadeusza”.

To co dzieje się z wolą zmarłego, jak doń podchodzą pozostający na tym padole, to osobny rozdział tragedii. Żywi, obojętne czy to jest rodzina, naród czy jakieś inne gremium, lepiej wiedzą co nieboszczyk chciał. Nie wiem czy Mickiewicz koniecznie chciał być pochowany



Henryk
Tomasz
Kaiser

Krzysztof Miklaszewski

SPEKTAKLE, O KTÓRYCH WARTO PAMIĘTAĆ

Premiera listopada

„UMARŁA KLASA”

Seans dramatyczny Tadeusza KANTORA
Opracowanie sceniczne, inscenizacja i reżyseria: Tadeusz
KANTOR

Teatr CRICOT 2 Kraków

[premiera: Galeria KRZYSZTOFORY - 15 listopada 1976]



fot: archiwum

* * *

Przejmujący (wciąż) seans

„Kiedy uchyla się wreszcie odporna na ataki napierającego tłumu zabytkowa krata, dzieje się rzecz najmniej oczekiwana: wysforowani na czoło szczęśliwcy, miast w pośpiechu zajmować wywalczone z trudem miejsca, stają jak wryci. Przycicha też spotęgowany przez beczkowe sklepienie Krzysztoforów gwar napierających. W półmroku piwnicy, przed oczyma gromady, stłoczonej w przejściu między rzędami ław i krzeseł, staje o b r a z właściwy tylko koszarowi snu, powracającego do dramatycznych szkolnych przeżyć. Oto – w niewielkich drewnianych ławkach, pokrytych szpargałami zakurzonych podręczników – siedzą zastygli w dziwacznych pozach i nieruchomo wpatrzeni we wchodzących – starcy i staruszki. Ich czarne ubrania, skrojone jednakowo, przypominają nie tyle szkolny mundurek, co wiejski ubiór trumienny. Tak zaczyna się seans Tadeusza Kantora.”

Ten opis, sporządzony przeze mnie od razu - w czasie popremierowej listopadowej nocy 1976 roku - a wydrukowany w prestiżowym miesięczniku „Teatr”, najlepiej chyba oddaje ogrom pierwszych wrażeń tej niesamowitej premiery, która – zgodnie ze wskazówkami <mistrza filmowej grozy> – Sir Alfreda Hitchcocka. „Umarła Klasa” bowiem nie tylko rozpoczynała się od prawdziwego „trzęsienia ziemi”, jakim był - na pewno - zachowany do dziś w pamięci - obraz początku akcji, ale jej przebieg nieustannie potęgował przeżycia.

Zanim bowiem już mocno zszokowani widzowie zdołali odnaleźć rozrzucone po ciemnych kątach piwnicy swoje miejsca, Kantor – od razu postanowił „przykuć” ich do własnych siedzeń, drugim - nie mniej koszmarnym - obrazem. Powróćmy zatem do fragmentów tego recenzenckiego przekazu sprzed lat...46:

Oto – „jeden ze starców podnosi palce do góry, zgłaszając się do odpowiedzi lub też prosząc o zezwolenie <wyjścia za potrzebą>. Wyzwoli to od razu „pantomimę wyciągniętych palców”, oddającą – zresztą - w pełni charakter nieuczciwej i nieprzebiegającej w środkach uczniowskiej licytacji.

Ta przemożna chęć dominacji nad kolegami doprowadzi każdą z postaci do opuszczenia przez nią swojej ławki (..) i finalnego wycofania się całej klasy.[...] Przerwa, która w obrazie scenicznej pustki pozwoli złapać oddech widzowi, nie będzie jednak długa.

Na sygnał bowiem Kantora (...), wyartykułowany zostanie – na wzór przybliżającego się i oddalającego się wspomnienia dźwiękowego – temat muzyczny „Valse Francois”.

I... wtedy z ciemnego portalu piwnicznego zaplecza wyłoni się pochód staruszków, dźwigających trupki dzieci. Ci poznani już uprzednio osobnicy stają się ludzkimi kreaturami, zrosniętymi z niesionymi przez nich trupkami. Owe potworne <narośla> to oni sami w okresie dzieciństwa (...)

Pochód w narastającym rytmie powtarzającym w nieskończoność „zapamiętane”, a właściwe każdemu osobnikowi gesty doprowadza jego uczestników do paroksyzmu „wzlotu”, a następnie - do całkowitego opadnięcia z sił. Kiedy wyczerpani krańcowo staruszkowie ostatnim wysiłkiem woli dopadają zbawczych ławek, jesteśmy całkowicie w środku Kantorowskiego s e a n s u, seansu właśnie, bo poetyka snu i rzeczywistość oniryczna stoją w punkcie wyjścia spektaklu.

Koszmarny sen trwa dalej: starcy wyrwani do odpowiedzi mielą oderwane pojęcia najrozmaitszej proveniencji: Biblia miesza się z historią, Stary Testament z grecką mitologią. Lekcja gramatyki w swej hiperpoprawności prowadzi do fonetycznych „kleksów”, a na zagubionych uczniów spadają coraz to nowe kary. Są to kary akceptowane ochoczo przez gromadę, piętnująca cechy indywidualnych odchyłeń (...) Zamkniętość tego układu wyznaczają: Sprzątaczką i Pedel w Czasie Przeszłym Dokonanym. To oni sprawują duchową i fizyczną pieczę nad tymi „wiecznymi uczniami”.

Pedel, typowy dla galicyjskiej szkoły, (...) oscyluje na pograniczu życia (...). Sprzątaczką natomiast (...) o twarzy bez wyrazu - wykonuje swe czynności setki razy z taką samą precyzją (...) czynność czyszczenia przenosząc na ludzi. W miarę upływu czasu w jej porządkach zaczyna dominować aspekt rytualny: obmywanie ciał staruchów przypomina ostatnie posługi wobec zmarłych. Wtedy wszystko coraz bardziej kojarzy się ze Śmiercią, zaś otoczenie staruszków stopniowo nabiera cech... Umarłej Klasy.”

I tu ważna refleksja po latach :

Konstrukcja takiego dzieła, jak „Umarła Klasa” zadziwia jednak – jak wspaniały wiersz - swoją <wielopiętrowością> skojarzeń wymykając się skutecznie konwencjonalnemu i prostemu opisowi. Wstrząsające obrazy „Umarłej Klasy” zdolne są wprowadzić łatwo uruchomić w każdym widzu najbardziej intymną sferę przeżyć. Ale to tylko część dowodu na teatralną maestrię Mistrza.

Tego Wielkiego Artystę bowiem, rewolucjonizującego światowe sceny, nawet w realizacji swego niewątpliwego a r c y d z i e ła interesowała tylko iście awangardowa postawa nieustannych poszukiwań w zakresie przemian swojego własnego języka sztuki. Dlatego to „Umarła Klasa”, która jest także przykładem zmagania Kantora z samym sobą, była w stanie tak mocno poruszyć każdego widza na wszystkich kontynentach. I dlatego pozostała i pozostanie w pamięci pokoleń.

PS. Zanim jednak przyjdzie Państwu obcować z PREMIERĄ GRUDNIA namawiam Wszystkich PT Czytelników na dalszy ciąg rozważań o tym wielkim Kantorowskim spektaklu, znanym dobrze mieszkańcom wielu miast całego naszego globu. Dobrą do tego okazją stanie się promocja mojej nowej książki „ŚWIATOWY ŻYWOT <UMARŁEJ KLASY>” 15 LISTOPADA 2022 [WTOREK] godz.18:00 Cricoteka, Muzeum T. Kantora, Kraków, ul. Nadwiślańska 2/4